

Adam Wlaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

27

— Moja Józiu, ty wiesz, że jestem konserwatywna w uczuciach i, jak kto raz znajdzie drogę do mojego serca...

— O! Anielko...

— Proszę cię, zrzuć ten płaszczyk, bo tutaj jest gorąco... Zaziebisz się... A teraz siadaj i siedź spokojnie.

— Już siedzę — odpowiedziała Józia z tą swoją potulną miną grzecznej dziewczynki, którą umiała zawsze rozbrajać przyjaciółkę.

— Widzisz, to, czy ja się gniewam, czy nie gniewam, to rzecz podrzędna.

— O, przepraszam! Dla mnie to jest właśnie najważniejsze.

— Nie przerywaj, tylko słuchaj! Tu chodzi o ciebie. Co będzie dalej?... Józiu, jakże ty mogła! Powiedz, nie pomyślałaś o nas wszystkich, których tak łatwo, tak bez zastanowienia rzuciłaś?

W głosie Walczakowej zadźwięczał wyrzut prawie bolesny.

Józia nie odpowiadała chwilę, walcząc ze łzami, które ją znowu dławić zaczynały.

— Powiem ci szczerze, tak, jak na spowiedzi — wyrzekła wreszcie cicho — że, dopóki nie zobaczyłam Konrada, nie myślałam o nikim, ani o niczym, jak tylko o nim. Dopiero później, kiedy sobie przypomniałam, kiedy się zastanowiłam... O, mój Boże!... Co mówił pan Kazimierz?! On mnie i tak nie bardzo lubił, a teraz, to już pewnie myśli, co najgorsze...

— Nie, Kazio bronił cię nawet przedemną.

— Naprawdę? O, jaki dobry i... mądry!... On mnie widocznie zrozumiał!... A pan Ludwik?... Ten, to drwił napewno! Ale mniejsza o niego!...

— A o narzeczonego twego nie pytasz, Józiu? O tego człowieka, którego tak bardzo skrzywdziłaś, któremu życie zламаłaś może!...

— Ja... ja bałam się pytać o niego... Biedny Władek!... Czy on już wie?...

— Tak jest, wie. Zjawił się, kiedy pakowałam rzeczy do drogi. Prosto ze stacyi, bo tam już mu zdążyli powiedzieć. Ale on wierzyć nie chciał... Wpadł, jak szalony... tak zmęczony... tak zdyszany, że mógł tylko zawołać: „Gdzie Józia?!”

— I co? I co?... — pytała gorątkowo Józia.

— Czyż trzeba ci opowiadać, nie domyślasz się?... Ten człowiek tak nagle ze szczytu szczęścia w przepaść bólu strącony... Józiu!... Tyle ci tylko powiem. Płakaliśmy nad nim!..

— Boże!... Boże!...

— Chciał jechać ze mną. Nie pozwoliłam naturalnie, bo i po co?...

— Anielko! Anielko!... Ale on sobie nie robi nic złego!... powiedz!... prawda? nie robi?!

— Kazio czuwa nad nim... Powiedział, że nie opuści go ani na chwilę, dopóki ja nie powrócę i twojej odpowiedzi, Józiu, nie przywiozę mu...

— Kazał mi coś powiedzieć?!

— Tak... Powtórzę ci jego własne słowa: „Jeżeli Józia zechce... jeżeli pożałuje... to niech wróci... Ja zawsze ten sam... I niech jej pani powie, że przysięgam, jednego słowa wymówki nie usłyszy odemnie”...

— Dobry!... szlachetny!... najlepszy!... a ja mu tak dokuczałam zawsze!... Jak on mnie kocha!... tak mocno, tak prawdziwie!... O, Konrad, ten nie przebaczyłby!...

— Więc wrócisz, Józiu?

— Nie!

— Dlaczego?

— Bo to byłaby podłość i nieszczęście jeszcze gorsze dla nas obojga... Będzie cierpiał, przeboleje, zapomni może z czasem, a tak, to byłoby piekło! Wierzę mi, żywe piekło!...

— Ach, ten list Zarnickiego! Ten list nieszczęsnny!... I pomyśleć, że to właśnie na dwa tygodnie przed ślubem!...

— Nie, Anielko! Ja cię nie chcę łudzić, nie chcę udawać lepszej, innej, niż jestem!... Dobrze się stało!... Bo gdyby to nie dwa tygodnie przed, ale dwa tygodnie, dwa miesiące, dwa lata nawet po ślubie — to byłoby to samo!

Walczakowa przerażona aż odsunęła się od Józi.

— Co, ty Józiu?! Więc przysięga... obowiązek, dobrowolnie przyjęty, nic dla ciebie nie znaczą?!

— Ach, obowiązek!... Puste słowo, jeżeli nie towarzyszy mu miłość!

— Biednaś ty, moja droga!... Nie wskazano ci żadnych celów poza tobą samą!... Nie nauczono cię,

że obowiązek, to rzecz świętsza i ważniejsza, niż zachcenie wzburzonej wyobraźni.

Józia, jak to zwykle bywało z nią w chwilach, kiedy się poczuła dotkniętą, uspokoiła się i podniosła.

— Dobra jesteś, Anielko... bardzo dobra i bardzo rozumna... a jednak krzywdzisz mnie teraz... Ty jednej rzeczy nie rozumiesz... nie doceniasz we mnie... Zresztą, skądżebyś miała, kiedy ja sama dopiero teraz zrozumiałam... Ty nie wiesz...

— Czego nie wiem?... Czego nie rozumiem?!

— Tego, jak bardzo... bezgranicznie... szalenie ja kocham Konrada!... To nie kaprys romansowy... to nie wybrzyk awanturczy, jak się tobie może zdaje... to uczucie takie wielkie, takie potężne, że chyba równie silne jak śmierć!

Dziwnie zabrzmiało, silnie zaakcentowane, słowo: śmierć, w ustach purpurowych dziewczyny, która zdawała się być uosobieniem kwitnącego życia.

— Dziewczyno, zmiłuj się! Dlaczegoś ty z nim poprzednio zerwała?! Przecież nie byłoby tego wszystkiego.

Józia zarumieniła się. Znać było, że waha się z odpowiedzią.

— Widzisz... to może jedyna rzecz, w której nie byłam z tobą zupełnie szczerą. Wstydziłam się... Ale teraz ci powiem... Zerwałam, bo wyczułam, że jeżeli nie ja pierwsza, to on...

— Więc on ciebie nie kocha?!

— Owszem, kocha... przekonałam się o tem teraz... ale on słaby, chwiejny... jego matka ma wielki wpływ na niego...

— W takim razie nie wart, żebyś go tak kochała!... Matka!... wpływy!... śmieszne!... Przecież to nie dziecko, nie chłopczek, ale mężczyzna dojrzały! I gdzie twoja ambicja, gdzie godność kobieca?!

— Nie mów mi o ambicji! Może byłoby lepiej, gdybym dawniej mniej miała ambicji!... gdybym się zdecydowała walczyć o jego miłość za wszelką cenę, ale byłam za młoda... za dziecinna!

Rozczucie mignęło w oczach Walczakowej. Łagodnie, pieszczotliwie położyła rękę na ramieniu Józi.

— Oj! Ty moja poważna istotko!

— Czasem jedna godzina cierpienia uczy więcej, niż całe lata... Ja dużo zrozumiałam... Widzę w twoich oczach niedowierzanie... Czekaj: nie mów nic... wiem, co chcesz powiedzieć... Będiesz stawiała zarzuty Konradowi... słuszne zarzuty, ale to dla mnie wszystko jedno. Widzisz, czytałam kiedyś skandynawską balladę o dziewczynie Blidelil, na którą rycerz Tidemand rzucił „runy”... czary... Nie znała go... zniewolił ją czarami i przysłał do niego... a potem ze wstydu i rozpacz rzuciła się w morze... I ze mną tak jest... On mnie urzekł poprostu... oczarował... Muszę iść za nim, kiedy mnie zawoła... choćbym nie chciała... choćby mi potem przyszło...

Wstała z kanapki i podeszła do okna. Słońce zapaliło złoto-rdzawe błyski w jej jasno brązowych, rozrzuconych teraz w nieładzie włosach.

Błada była, a oczy jej turkusowe, jak fala Adryatyku w pogodę, płonęły dziwnym ogniem, który szedł od wewnątrz.

Anielka patrzyła na nią jak oczarowana.

Zdało się, że widzi przed sobą żywą ilustrację do smutnej legendy skandynawskiej o pięknej Blidelil.

I w cichości serca powiedziała sobie, że pomimo wszystkich wad Józi, gdyby była mężczyzną, zakochałaby się w tej cudnej, niezwyklej dziewczynie.

— Ona inna, niż ja — pomyślała — inna, niż wszystkie kobiety, które znam... Nie można do niej przykładać pospolitej, szablonowej miary... Ale... czy będzie szczęśliwa?

Podeszła do Józi i obejmując ją ręką za szyję, zaczęła przyciszonym głosem:

— Józia... jeżeli tak bardzo go kochasz... Kazio jednak lepszy psycholog odemnie. On cię zrozumiał od razu... Masz rację, że lepiej się stało, bo coby to było za małżeństwo... Tylko, Józiu... nie powinnaś byłaś decydować się...

Józia ocknęła się ze swego zamyślenia, jakby ze snu zbudzona.

— Co mówisz, Anielko?... Że nie powinnam była oszukiwać Michnika?... Wiem o tem. Byłam wtedy zrozpaczona... Ojciec... macocha... Stobiński... no, wiesz przecież... Ja Michnika lubiłam zresztą... myślałam, że się przemogę... że będę dobrą żoną...

— No, to już skończone. Chłopi powiadają, że żałować tego, co było, to jakby sitem wodę czerpać... Mówmy o teraźniejszości i przyszłości. Czy Zarnicki bardzo chory?...

Twarz Józi rozjaśniła się nagle uczuciem wielkiej, głębokiej radości.

— Wiesz, zrobiło mu się lepiej, kiedy mnie zobaczył! Mój złoty Konrad tak bardzo tęsknił za

mną... Miał zapalenie płuc, ale najgorsze już przeszło... Doktor Rzęśniewski mówi, że teraz będzie już wracał do zdrowia...

— To mnie cieszy. Uważam, że wobec tego, co zaszło, powinniście się pobrać, skoro tylko on będzie mógł wstać z łóżka.

Chwilowe rozpromienienie zniknęło. Józia uśmiechnęła się smutnie.

— To niemożliwe, Anielko!

— Dlaczego?!

— Bo jego matka nigdy nie zgodzi się na to.

— Cóż znaczy w tym wypadku matka?! Moja ciotka i opiekunka także nie chciała, abym ja wyszła za Kazimierza. Dlaczegożby zresztą nie miała się zgodzić?

— Ona mnie nie cierpi, a chciałaby ożenić Konrada z jedną panną bogatą bardzo i z arystokratycznej rodziny.

— No, takie życzenia miewa prawie co druga matka. Opowiedzże mi coś więcej o tej matce, jeżeli wiesz. Czy ona jest tutaj ze synem?

— Tak.

— Jakże cię przyjęła?

Stwardniały rysy Józi.

— Nie pytaj lepiej.

— Owszem, będę pytać. I proszę cię, Józiu, opowiedz mi wszystko, tylko szczerze, otwarcie, nie przemilczając niczego. Chyba masz do mnie zaufanie?

— Jak do nikogo innego na świecie... Wiesz przecież o tem.

Józia usiadła znowu na kanapce i nie podnosząc oczu na przyjaciółkę, cichym głosem snuła mć opowiadania. Przerywała je kilkakrotnie, bo niektóre szczegóły z rozmowy z Zarnicką przez gardło przejść jej poprostu nie chciały.

Przewycięzała się jednak i mówiła dalej. Przeżywała w wspomnieniu jeszcze raz ten ból... ten wstyd... to upokorzenie...

Anielka słuchała w milczeniu, nie dodając ani słowa od siebie. Była zdania, że wszelkie uwagi na ten temat byłyby nie tylko niepotrzebne, ale nie-delikatne i przykre.

Kiedy Józia skończyła, Walczakowa rzekła krótko:

— Zaraz po obiedzie pójde do pani Zarnickiej.

Józia zerwała się z płonącymi oczyma.

— Anielko! Nie zrobisz tego!

— Cóż ty znowu?... Dlaczego?

— Ona pomyśli wtedy, że ja naprawdę dla małżeństwa... A ja nie... ja nie myślałam o tem... ja za miłość nie chcę zapłaty!...

— Józiu, ja ciebie znowu zaczynam nie rozumieć! Jakto, ty nie chcesz zostać żoną Zarnickiego?

— Nie... nie... to nie to!... Jabyłm chciała... toby było takie wielkie... takie nieskończone szczęście... być zawsze przy nim...

— A zatem...

— Ale ja wiem... ty powiesz, że on musi, powiesz, że to jego obowiązek, bo ja jestem skompromitowana... A niech sobie będę!...

Anielka spojrzała Józi w oczy bardzo poważnie, stanowczo i trochę surowo.

— Jesteś więcej dziecinna i nierozważna, niż nawet ja przypuszczałam. Rozumiem twoją szlachetną drażliwość, ale wszystko musi mieć swoje granice! Nie usłucham cię, Józiu, postąpię według mego uznania... Pomijając to, że mnie twój los serdecznie obchodzi, jestem za ciebie odpowiedzialną wobec twego ojca...

— Ojca!... — zawołała nagle Józia, jakby uderzona tym wyrazem, który pchnął jej myśli w inną stronę.

Na wspomnienie ojca, zadrżała...

— Anielko! Czy ojciec mój wie?...

— Prawdopodobnie już wie. Kazio napisał list do niego. Niepodobna było to przecież tać!

— Boże! Boże!...

Dopiero teraz śmiertelna, obłądana trwoga zaczęła wstrząsać dziewczyną.

— Anielko! Obroń mnie przed nim!...

— Nie bój się, dziecko, nie bój się!

Zapukano do drzwi. Była to służąca z pensjonatu, która przyszła oznajmić pani Walczakowej, że obiad podany.

— Zaraz przychodzę! Józiu, uspokój się, przeżyj oczy! Nie można robić ze siebie widowiska. I przyczesać się musisz i przebrać! Prędko, prędko, dopomogę ci! Nie lubię się spażniać.

Z brzękiem rozleciały się po podłodze szczątki gipsowej statuetki, którą Maliniewicz w uniesieniu gniewu rzucił o ziemię. Żyłby nabrzmiały mu na czole, pociemniałe oczy z orbit wysłakiwały, drgające wargi odsłaniały białe, szpiczaste zęby, ręce zaciskały się kurczowo, jakby coś lub kogoś skruszyć chciały.